

Manhattan w Palacu Kultury

TERESA KRZEMIEN

Wysoko. Na jaskółce. W malarni teatru, pardon, Ośrodku Centrum Sztuki STUDIO. Idzie się na ten Manhattan parę minut, ale jak się już dojdzie trudno uwierzyć, że dookoła najbardziej wietrzny plac Europy, że obok Dom Meblowy „Emilia” i że w ogóle jesteśmy w naszym bloku.

Wnętrze umeblowane jest syntetycznie, więc symbolami. Pufy, sofy, barek, książki, aparatura hi-fi — to na razie jak u nas, jak u szanującego się warszawskiego inteligenta.

Nie nasz już metraż tego wszystkiego, living room jak stodoła, przestronny, sposobny do odgrywania w nim najbogatszego teatru wyobraźni (wszystkie zjawy z naszych Dziadów by tam weszły lekko).

I nie nasze są porterty. Einstein na ścianie?

W tym wnętrzu chłopczek w okularach, miękkich, kocich, chucherko jajogłowe, ubrane modnie, ale od razu widać, że nie ciuch go zaprzęta. Intelktualista. I taki jakiś... raczej dobry.

Zapomniane, wyświechtane słowo, określenie nie z tego czasu. Ten chłopczek jest kimś tam ze sztuki Woody Allena (*Zagraj to jeszcze raz, Sam*) ale właściwie jest jakimś młodzieńcem, polskim odpowiednikiem Allena. Tego Wielkiego. Z Manhattanu, z Piątej Avenue, obecnie nawet już Reżysera Roku (prasa doniosła). Allena znanego z filmów, uwielbianego przez wielu, z kości intelektualnego, komicznego, inteligentnego, żydowskiego.

Nie, ten chłopiec w malarni nie ma w sobie żadnych nowojorsko-semińskich wyróżników. Jest tylko kruchością zablakowaną w wiek plastików, koruputerów, pigulek antykoncepcyjnych, wojen gwiazdnych, obowiązującego etosu sukcesu za wszelką cenę, ostrego seksu...

I znowu stop. Ten sukces i seks to raczej jednak Manhattan niż Warszawa.

Ala Warszawa tu sporo, właśnie: Warszawa przegląda się w Manhattanie.

Chłopiec nazywa się Wojciech Malajkat i jest aktorem reżysera tego przedstawienia (premiera sylwester 86) Adama Hanuszkiewicza.

Chłopiec w tym co robi jest samą prawdą i wdziękiem, samą bezradnością inteligenta wstawionego w świat ćwierćinteligentów i tępych pragmatyków. Ten chłopiec ma w sobie światło, jeśli będzie się nadal w nim paliło — zdobędzie polskie sceny, to jest: zdobędzie nas, widzów.

Oglądałam go w teatrze telewizyjnym w Zeglarzu Szaniawskiego, nie był porwujący, nie był nawet dobry.

W obu przedstawieniach Hanuszkiewicza (nagrodzone we Francji *Maria i Woyzeck* i *Zagraj to jeszcze raz, Sam*) Malajkat jest kimś fascynującym.

Bo poza prawdą w sobie ma jeszcze humor. Sztuki Woody Allena nie dałyby się zagrać bez tego, byłyby bez niego bez sensu.

Właściwie chciałam pisać o Hanuszkiewiczu a piszę o jego aktorze.

Ala może to i dobrze, może to właśnie tak trzeba?

Najwytrwalsi przeciwnicy Hanuszkiewicza nie mogą mu odmówić daru pracy z młodymi, szczególnych talentów pedagogiczno-magicznych. Dodam: i daru robienia atmosfery teatralnej, albo lepiej: atmosfery wydarzenia kulturalnego.

Nie piszę recenzji, nie muszę analizować po kolei, stawiać stopni. Chcę z tego wieczoru wybrać to jedynie, co wydaje mi się być warte oświetlenia publicznego, co jest oryginalne i jakościowo odmienne od codzienności naszych scen.

Hanuszkiewicz zrobił przedstawienie siłami teatru Studio, tymi akurat, które były do wzięcia, nie zajęte gdzie indziej. Nie wartościuję, informuję tylko, że nie wybierał, nie mógł grymasić.

Wybierał tylko autora, tekst i bohater. Malajkata właśnie.

Wybrał mu partnerkę — Gabriłę Kownacką. Obojgu przeznaczył rolę bardzo trudną: za pośrednictwem amerykańskiego intelektualisty upomnieć się o prawo do życia nie poddanego szablonom, modom i unifikacjom naszego wieku. To upominanie jest u Allena i u Hanuszkiewicza mało skuteczne, obnaża całą bezradność nieprzystosowanych, słabszych, lub tylko wartościowszych uczuciowo i intelektualnie, wrażliwych.

Nie wyobrażamy sobie przecież triumfującego Woody Allena, w niczym. Ale fakt, że w doskonale pragmatycznym świecie Ameryki jest taki facet jak on (tylko on konkretny co typ postaci jakie grywa i wprowadza do swoich sztuk i filmów) działa krzepiąco. Jednak pozwala mieć nadzieję, tam i tu. Tu także, choć nasz Manhattan, pożal się Boże, jeszcze nie cały zajęty jest trawieniem, pomnażaniem pieniądza.

Allen napisał tę sztukę (*Zagraj to jeszcze raz, Sam*) na początku lat siedemdziesiątych, w r. 1972 historyjka była już zekranizowana, ogłoszona hitem (grali Allen i Diana Keaton). Historyjka nawiązuje do filmu *Casablanca* (niedawno na naszych małych ekranach) Allen bawi się tu szablonem miłosnym Humphreya i Ingrid Bergman przeciwstawiając tej celuloidowej parze dwójkę młodych i nieprzystosowanych z lepszych sfer Nowego Jorku.

Kownacka, ciebie jak nigdy, jak nigdy dotąd naturalna i prosta odkrywa w sobie oto uczucie do chłopca — pechowca, nieudacznika, antytezy amerykańskiego fajnego koleśka.

A nieudacznik Malajkata przez cały czas ocala nam przed oczami godność człowieka nie wstydzącego się uczuć. Nawet wtedy, kiedy usiłuje — bez skutku — upodabniać się do kolegów i reszty świata: być męski, chamski, płytki, zaboreczy i typowy. Wszystko to w wydaniu

amerykańskim, sympatyczno-higienicznym.

Allen — twórca *Spiocha*, *Annie Hall*, *Manhattanu*, *Zeliga* i obecnej akurat na naszych ekranach *Purpurowej róży z Kairu* — uważany za filozofa komedii, ale i za gagmena, Allen z zatroskaną twarzą, z okularami, z brzydotą, z wyrazem zaszczutego komizmu w piekielnie bystrych oczach, ten Woody z Manhattanu to już legenda.

Także i u nas. Moda również, na pewno.

Ala zmierzanie się z *woodyzmem* na małej scenie, w Warszawie, przy placu Defilad, w gmachu stanowiącym antytezę tego wszystkiego co uosabia filozofia i estetyka tego artysty — to już odwaga.

To już tupet. Murowane, oczywiście ryzyko.

Reżyser (gościnnie) podjął je jednak — wydaje się — beztrósko i leciuteńko.

Wiedział pewnie to, co widać dopiero teraz: miał chłopca allenowskiego. Nie chcę wiedzieć i nie wiem jakie byłoby to przedstawienie bez młodego Allena — Wojciecha. Najprawdopodobniej w ogóle by go nie było, chociaż rzeczywistość podsuwa spektakle *Kordianów* bez Kordiana i *Wyzwoleń* bez Konrada.

Ala jest jak jest. Groteska, pastisz, zabawa w Manhattan — ubożuchna, bo jaka by miała być? — i to najważniejsze: prawdziwy Allen, prawdziwa Nancy i ich sprawa, która jest sprawą niedobitków inteligentnych.

A la mode americaine, owszem, ale przecież problem naszej cywilizacji. I tak naprawdę — pokazany po polsku, po naszymu, mimo melodii Gershwin i ragtime'ów. Smaczki nie są tu ważne, może dla skrupulatnych recenzentów (gdzie oni dziś?). Ważna jest SPRAWA i ważny jest klimat.

Nastrój teatralnego zdarzenia, które obchodzi widza.

Tak sobie myślę: gdyby można to było oglądać jak niegdysiejsze przedstawienia Hanuszkiewicza, w najładniejszym, a dziś pustawym teatrze Warszawy — w Małym... Zbudowanym przecież z pomysłu Hanuszkiewicza i dla niego, niegdyś żywym i obleganym.

Ten Manhattan pasuje jak ulał do nastroju — dawnego nastroju — Małego.

To, oczywiście, tylko westchnienie (starzejemy się...) dygresja (gdzie je robić jak nie w *Dygresjach*?), żaden postulat rewindykacyjno-rozszczeniowy, chociaż, czy byłoby to takie głupie?

Ech, zagraj to jeszcze raz, Sam — jak rzekł Humphrey Bogart w swojej knajpie do pianisty Murzyna, dając się opanować uczuciu do Ingrid Bergman, a wszystko to w *Casablance*...